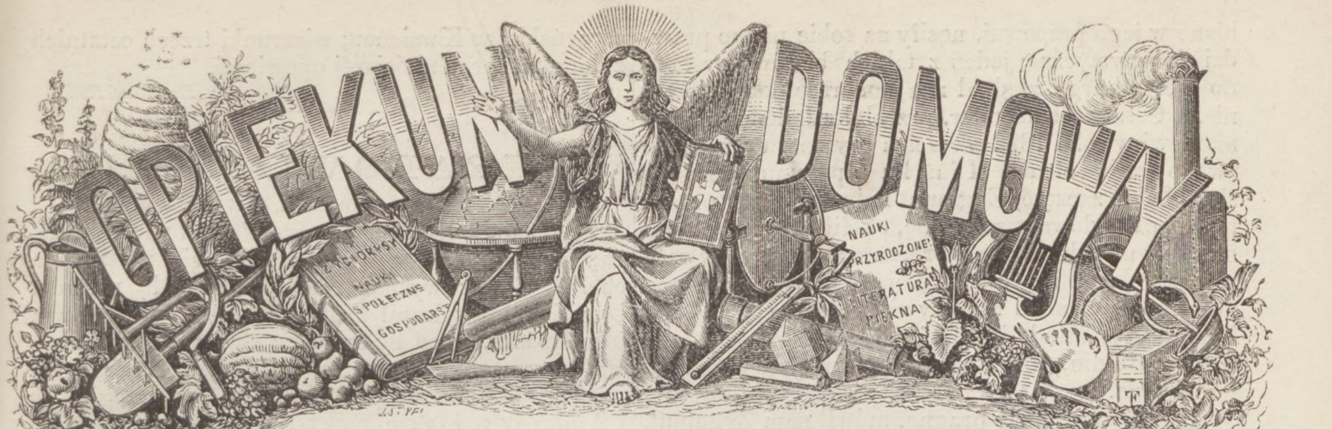


Warszawa dnia 1 (13) Grudnia 1865 roku.

Nr 50. | Cena w Warszawie 40 gr. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złp. kwartalnie. (Redakcja przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715). | Rok I.

ZYGMUNT STHELIK.

Daję wam życiorys człowieka wielkiéj pracy i skromnych zachceń; dzieje kamieniarza spisać tu pragnę; ręka od młota i dłuta, kierowana poczuciem artystycznem, myśl wcielona w kamień zdobiący świątynie i groby, zasługuje na poczczenie; więc przed tą mogiłą młodego bojownika chylę głowę z współczuciem, i dzieje jego wędrówki po téj ziemi opowiadam. Zygmunt Sthelik, syn kupca Krakowskiego i Teressy z Kremerów, urodził się dnia 2 marca 1834 r. w Krakowie; tamże ukończył szkołę Technologiczną, a mając zamiar poświęcić się zawodowi kamieniarskiemu, pierwsze studja odbył w pracowni starszego brata Edwarda. Należycie przygotowany, udał się do Wiednia, gdzie dwa lata pracował przy restauracji kościoła Ś-go Szczepana. Z Wiednia robił wycieczki do Drezna, Wrocławia, Pragi, w celu przypatrzenia się bliżéj arcy-dziełom dotyczącym sztuki kamieniarskiéj; na dalszą podróż nie stać było ubogiego młodzieńca. Włochy więc i Francją odłożył na późniéj. Po téj wędrówce po miastach niemieckich, wrócił do rodzinnego Krakowa, zkąd zaraz udał się w połowie 1859 roku do Kamieńca, zachęcony odezwą swego wuja Dra Al. Kremera. Stary ten gród posiada obfite pokłady materjału nadającego się do robót kamieniarskich. Marmur Kamieniecki, acz bardzo twardy, więc trudny do odrobienia, w niczem jednak dobrym gatunkom nie ustępuje. Młody Zygmunt zwiedził okolicę, rozpatrzył się w niéj i postanowił tu pośród nas osiąść. Z początku praca szła opornie, jak to zwykle bywa; pierwsze trudności zdały się być nie do zwalczenia; w ciasno zabudowanem a przeludnionem mieście, trudno było nawet znaleść dogodne miejsce na pracownię; narzędzia sprowadzone nie odpowiadały mocy marmuru, a co najwięcéj — brakło młodemu przybyszowi uznania ogółu, nie bardzo zamiłowanego w sztuce tego rodzaju, dzięki miejscowym rzemieślnikom, szpecącym od tak dawna świątynie nasze i cmentarzyska. Zygmunt się jednak nie zraził, wynalazł sobie podwórko więcéj zaciszne i w imię Boże jął się młotem dobijać sławy i praw obywatelstwa w kraju, który go—jeżeli nie niechętnie, to pewnie obojętnie powitał. A że z Bogiem zaczął, więc też mu Pan błogosławił w téj jego mozolnéj i trudnéj pracy: jeden, drugi pomnik sumiennie wykończony, nie chylący się na boki po upływie kilku miesięcy, jak się to u nas zwykle dzieje, pomnik poczuty artystycznie, bijący w oczy najobojętniejszych lekkością konturów, pięknem i należytem opracowaniem, zaczął mu jednać wziętość i rozgłos, nietylko w Podolskiéj, ale i w ościennych gubernjach. Nie jedne wszelako ozdoby świątyń i cmentarzy były głównym celem prac Zygmunta; marmurowe blaty do stołów, wazony, urny wyra-



Zygmunt Sthelik.
(Rysował Kozarski —wyciął na drzewie Walter).

biane w jego pracowni, nosiły na sobie piętno prawdziwie artystyczne; jeden z takich blatów, wysłany do Petersburga, zjednał mu monarsze podziękowanie, a Cesarz Aleksander, przesłał młodemu kamieniarzowi w roku 1862 pierścień brylantowy, na znak swego zadowolenia. I już ku lepszemu wszystko się składać zaczęło; Zygmunt nabył plac na przedmieściu, zbudował pracownię, okolił ją prześlicznym ogródkiem, robota szła sporo, zamówień przybywało zewsząd dosyć i życie spokojnie płynęło, ogrzane jasnym promieniem urzeczywistniającéj się nadziei. Wiara, gdy młoda i energja nie słabnąca przy lada niepowodzeniu, góry z miejsca na miejsce przenosić jest mocna.

...„Jeszcze jednego pragnę, mówił nam Zygmunt, oto szczęścia domowego, pragnę kogoś takiego coby mi był towarzyszką, aniołem opiekuńczym ogniska, uspokojeniem w trosce, pociechą w nieszczęściu.” I na ten temat marzył przez długie godziny wieczorne w swojéj ustronnéj pracowni, a z brzaskiem ranka pokrzepiony marzeniami, których urzeczywistnienie nie było wcale niepodobieństwem, brał się raźno do dłuta, do młota i kuł nim sobie u ludzi szacunek i uznanie.... Aż oto z wiosną bieżącego roku niemoc zaszła mu drogę, silny, młody, wytrwały walczył z nią, lekceważąc sobie groźnego gościa; chorował krótko, chodził do zgonu, umarł po jednéj długiéj nocy mąk niewysłowionych, 5 marca 1865 roku. Smierć jego niespodziana przeraziła nas wszystkich znajomych i obcych, tak bo wcześnie na spoczynek legł w grobie, tyle mu się życia uśmiechało, tyle przed sobą miał lat pracy... I za tą trumną, zamykającą w sobie nieziszczone sny i rojenia; szło miasto całe, a na cmentarzysku miejscowem przybyła nowa mogiła! Zwiedzałem ją niedawno: darń skąpo trawą pokryta, na sąsiedniem drzewie ptak wędrowny nucił piosnkę żałobną i tęskną jakby chciał dośpiewać resztę pieśni niedośpiewanéj za życia zmarłego, jakby dosnuwał wątku rojeń młodzieńczych, urwanych zgonem niespodziewanym... I dziwna bo to ironja przeznaczenia, zamiast domowego ogniska, jama mogilna, zamiast kochanki, żony, trumna; ale niezbadane są wyroki Pańskie, więc na kolana do modlitwy! I pieśń zabłąkanego ptaszęcia cichła coraz bardziéj i bardziéj, z żałośnéj w spokojną przechodząc nutę; zupełnie tak z sercem człowieka, zranionem śmiercią ukochanéj istoty; rozpacz przechodzi w ból i żałość, a po latach wielu smutny w niem spokój osiada....

Z ważniejszych prac Zygmunta Sthelika w gub. Podolskiéj dokonanych, zasługują na wspomnienie następujące:

Kaplica Przenajświętszego Sakramentu w katedrze Kamienieckiéj, ozdobiona marmurowym ołtarzem,

Figury Świętych Apostołów przed kościołem w Tynnéj.

Sarkofag na grobie hr. Grocholskiego, niegdyś marszałka i gubernatora podolskiego.

Sarkofag na grobie księdza Budzyńskiego, prałata kapituły, potem jeneralnego wikarjusza, przez długie lata, zastępcy Biskupa, którego to kosztem wybudowana i potem odnowiona została wyżéj wspomniana kaplica.

Sarkofag na grobie Popowskiego, posiadacza ziemskiego z powiatu Winnickiego.

Pomniki dla ś. p. Łozińskiego z Tynnéj, Rogulskiego w Sokulcu, Mniszka, Radziejewskiéj i Zaszczyńskiéj w Kamieńcu; wizerunki trzech ostatnich załączamy przy niniejszéj opowieści.

Dr. Józef Rolle.

KRAKOWIANKA.

(*Ciąg dalszy.*—Ob. Nr. 44, 45, 47 i 49).

Maryna słuchała tego wszystkiego z wielką uwagą; w główce jéj przeróżne roiły się myśli, ona chciała już raz wyznać Ambrożemu całą prawdę, i prosić, aby wykupił Piotrusia; drugi raz znowu, jak słyszała, że on by ani syna swego nie wykupywał; porzucała pierwsze przedsięwzięcie, wahała się już i różne układała plany; ale nie spostrzegła, że i Ambroży coś także pomyślał, i jakiś plan sobie ułożył. Noc przespała niespokojnie, widziała we śnie Piotrusia w mundurze, jak go od niéj inni żołnierze z karabinami wyrywali.

Nazajutrz były święta Wielkanocne. W całéj wiosce było świątecznie. Krakowski bowiem lud obchodzi te święta bardzo uroczyście, zachowując z dawnych przedchrześcijańskich jeszcze czasów, niektóre obrzędy, jak np. szmigus, czyli tak zwany sznirgust, tracz czyli baranek, przechowujący się szczególniéj u ludu Krakowskiego. W wiosce, w któréj nasi znajomi przemieszkiwali, od samego rana parobcy i dziewki postrojone jaskrawo, siarczyście, wchodzili do kościoła, niosąc kołacze, szynki i jaja do święcenia do parafii, gospodarze zaś i starsi czekali na nich w uprzątniętych schludnie izbach, i po powrocie ich dzielili się jajkiem ze wszystkiemi domownikami, życząc wesołego Alleluja. Ambroży zaraz po śniadaniu, zjadłszy jajko ze swojemi w domu, nie mówiąc nic, wyszedł na wieś, mając wesołą minę, i dobry bardzo humor. Wyszedłszy, skręcił się z drogi wiodącéj przez środek, koło figury świętego Jana Nepomucena, na lewo, i wprost do chaty Antoniowéj. Rzadko tam chodził, bo nie chodził nawet prawie nigdzie, ale gdyby go Maryna widziała, możeby się domyślała jego zamiaru.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! rzekł wchodząc do izby, porządnie uprzątniętéj i zamiecionéj.

— Na wieki wieków, Amen, odpowiedział mu Antoni w żupaniku tylko granatowym, jako po domu ubrany, ale na przyjęcie miłego gościa, chwytający czemprędzéj za sukmanę z białego sukna, aby ją włożyć na siebie.

— Nie potrzeba téj ceromonji, mój kumie; przecieśmy swoi, i kumowie. Antoni złożył sukmanę na łóżku, a wysuwając z pod ściany ławę, wskazał ją gościowi, prosząc go siedzieć.

— A gdzież to Piotruś? spytał się Ambroży.

— Gdzieżby, jak nie w kościele; jak poszedł z rana tak nie wróci pewnie aż koło południa. Bieda mi straszna z tym chłopcem.

— No, no, jakoś tak my to temu zaradzimy.

— Czy wiecie co dobrego mój kumie?

— Właśnie też z tem do was przychodzę.

— Chwałaż tobie Panie Boże! zawołał uradowany Antoni, całując na znak wdzięczności, swojego gościa w ramię.

— Nie wiem ci ja wszystkiego dokładnie, ale domyślam się trochę. Otóż: znacie może moję Marynę—córkę ś. p. brata mojego, co to.....

— Aj znam ci ją dobrze, znam; któżby takiéj szwarnéj dziewuchy nie znał.

— Otóż mi się zdaje, mówił Ambroży, nachylając

się do ucha Antoniemu, że między tą Maryną a waszym Piotrusiem coś jest.

— Jakto?!

— A! nie bójcie się, mój kumie; nic złego. Oni się muszą znać i kto wie czy się nie mają ku sobie.

— Ej, podobnoście się zmylili. Pytałem ja się nie raz i nie dziesięć razy tego warjata o dziewuchy; wymieniałem wszystkie z naszéj wsi, wymieniałem z przeproszeniem i waszą Marynę, ale gdzie tam; milczał jak mruk.

— No! a ja wam powtarzam, że się nie mylę. Skoro tylko wczoraj wspomniał w domu, że waszego syna mają oddać do wojska, moja Maryna, która, jak wiecie, także od jakiegoś czasu na jakieś tam brewerje choruje, przelękła się, skłopotała się okropnie; no kiedy wam powiem, pytała się wyraźnie, czyby nie można wykupić Piotrusia od wojska.

Antoni czerwieniał z radości. Gdyby to Pan Bóg dał, tobyśmy go, z pomocą waszą, drogi kumie, wyleczyli z téj jego kanikuły.

— Po to też do was przychodzę, i radzę wybadać chłopaka uczciwie, a potem sprowadzić go do mnie—i o reszcie pomyślimy obydwa.

— A jak go wezmą? spytał się frasobliwie uszczęśliwiony ojciec.

— Ha! to wola Boża. Jeżeli go dziewucha kocha to zaczeka na niego. A dobrze będzie i tyle, że choć spokojny dom wasz opuści.

— O! niech wam Pan Bóg stokrotnie za wasze pocieszenie nagrodzi. Gdyby to prawda była! Gdyby to tylko prawda była.

Wkrótce potem, porozmawiawszy jeszcze trochę z Antonim, pożegnał go Ambroży, i z wesołą miną powracał śpiesznie do domu. Laskę, którą trzymał w ręce, wywijał sobie po powietrzu, jakby chciał ludziom mówić: patrzcie, widzicie że Ambroży obejdzie się jeszcze bez laski. Powróciwszy do domu, nie mówił z nikim ani słowa o swoich odwiedzinach, Marynie tylko szepnął do ucha:

— Będzie jutro szmigust!

— Jaki szmigust? zapytało się smutne dziewczę.

— Pewnie się takiego niespodziewasz, jaki będzie; ale to wiem, że cię nie zgniewa. Zapłoniona Maryna nie zrozumiała, ani nie odgadła myśli Ambrożego; ale w duszy pomyślała sobie: Żeby to Piotruś!....

Ambroży wykradł jéj myśl z duszy i dodał: Wojacy się dziewusze podobają. Ale nie patrzał nawet już potem na nią, ani też nie wznawiał tego przedmiotu, czekając w rzeczy saméj szmigustu jutrzejszego.

Maryna turbując się ciągle snem ostatniéj nocy, i zgryzotą Piotrusia, przetęskniła dzień cały tak, jak innych 365 przetęskniła przedtem, i ani jéj na myśl nie przyszło przygotować się na jutrzejszy szmigust, o którym wszyscy parobcy i wszystkie dziewuchy już myśleli od południa.

IV.

W drugie święto Wielkiéj nocy wesoło było w całéj wiosce. Parobcy zebrawszy się w kilku, uwijali się koło chałup od rana, nie omijając żadnéj, w któréj tylko jaka dziewucha mieszkała. A szczególniéj też zatrzymywali się przed takiemi, gdzie były na drzwiach plamy z wapna gaszonego pomalowane, bo tam była dziewucha na wydaniu. Janek Kołodziejczyk i Filip Smagławy, tak nazywany od wszystkich, dla swego wzrostu wysokiego, wodzili réj zawsze w takich obrzędach, więc też i dzisiaj, oni byli na czele. Z namowy Ambrożego i Antoniego, poszli oni najprzód po Piotrusia, i wywlekli go prawie gwałtem. Nie bądźże też głupi, mówił mu wesoły Janek, pójdź z nami, będziemy dziewuchom wyprawiali śmigus. Ale co mi ta potem, tłumaczył się, opierając uporczywie, ale gdy go Janek z Filipkiem wzięli między siebie, wyprowadzili na wieś, i trzymali jak jakiego aresztanta między sobą, nie było rady, musiał iść.

— Do Ambrożego, chłopcy! zakrzyknął komendant obrzędu. Tam najszwarniejsza dziewucha! A wtedy pędem pogonili wszyscy do Ambrożego, i Piotruś, rad nie rad, musiał z niemi lecieć także. Gdy przybyli przed chatę, Janek zaczął następującą pieśń, a wszyscy mu wtórowali chórem:

Z pod kamienia grobowego, Chrystus zmartwychwstaje,
I dobywa nożyka, na święcone jaje.
Krajcie i pijcie—pociecha jedyna,
A dajcie mi skosztować; ja mała dziecina.
Ja mała dziecina,
Nie wiem co łacina,
Nie wiele wiem,
Nie wiele powiem.
Powiem wam nowinę:
Że będziem dziś jedli jajko i słoninę,
I jajka farbowane:
I ser przekładany,
I święcone prosię
I chrzan gorzkawy, co kręci w nosie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WNUCZKA PRZEKUPKI.

(Dokończenie.—Obacz Nr. 47, 48 i 49).

Brunet jak w ukropie, spoglądał to na chorą, to na Anusię stojącą przy łóżku; nowy to widok dla niego, a że niezabawny, musiał być przykry; wyszedł zły i zemstę zaprzysiągł za ubliżenie takie. Stargany, roznamiętniony, wracając do domu wyłajał dobitnie Kunegundę, czatującą na drodze.

Po takiem wtrząśnieniu, chora wpadła w sen letargiczny, całą dobę trwający; paliła się gromnica, sąsiadki obsiadywały, a że już odbyła świętą spowiedź i ostatnie pomazanie, byli spokojni o duszę gdyby we śnie zgasła.

Anusia blada jak papier, nie odstępuje łóżka, nic w usta nie bierze, śledzi co chwila, czy bije serce, czy oddycha babunia, modli się w duchu, czeka łaski Bożéj.

Upłynęła doba, chora otworzyła oczy i rzekła: Daj napić się herbaty. Anusia zawołała: Ach Boże! i wybiegła do sieni. Herbaty ani listka, cukru ani kawałka, ani jednego grosza i nie ma co przedać. Pomyślała chwilkę, zdjęła z nóg bóciki i pobiegła do kramu.

— Panie Lajzer, proszę dać za dwadzieścia groszy herbaty i za tyleż cukru; gotówki nie mam, proszę wziąść bóciki, warte parę złotych.

Lajzer popatrzył na nią; dzień chłodny, gruda już na błocie, a dziewczę bose, niczem nieokryte przyniosło w zastaw bóciki. Odważył ćwierć herbaty, funt cukru i oddał mówiąc: czy Lajzer nie człowiek, czy żyd wam nieprzychylny? Włóż waćpanna bóciki, bierz herbatę i cukier, a jeżeli potrzeba będzie krup, świec czy mydła, znajdziesz w kramie Lajzera.

Anusia nie umiała dziękować, choć czuła przy-

chylność darzącego serca. Włożyła bóciki, wzięła cukier, herbatę i pobiegła do domu.

W moment gotowy napój i w godzinę lepiéj się miała staruszka; czuć było, że śmierć już odeszła daléj. Anusia nie znużona biedą, krząta się koło choréj i znowu bierze się do pracy. W dni parę, ksiądz, co na śmierć dysponował chorą, przyniósł zapomogę pięćset złotych.

— Od kogo? pyta strwożona staruszka.

— Bądź spokojną matko! pieniądz to czysty; Opatrzność przysyła, nie pytaj więcéj, bo ta dająca prawica chce, by o tem nie wiedziała lewica. Dzięki Bogu, zdrowie powróci, obchodź się matko tym groszem, sąsiedzi dopomogą i ja poradzę, a będziesz znowu pod własnym dachem.

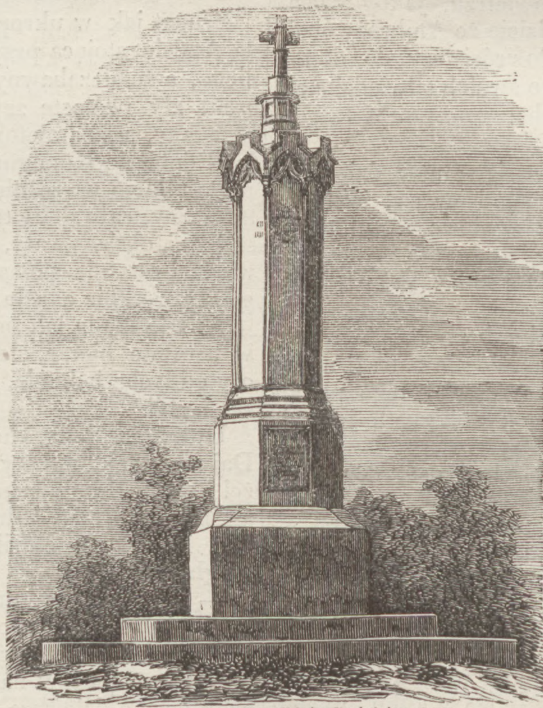
W parę miesięcy potem Marcinowa poszła znowu na rynek, gdzie ją najmiléj przyjęły dawne towarzyszki; Anusia znowu z czepkami siedziała, a brunet omijał ze złością niewdzięczne, knując zawsze zemstę nad sierotami.



Pomnik Heleny z Wacowskich Zaszczyńskiéj.
(Rysował podług fotografji J. Kordysza Kozarski—wyciął Rosen).

Na wiosnę był ruch koło popieliska: za pomocą sąsiadów wznosił się nowy dworek dla sierot. Kunegunda, otrzepana przez bruneta, zmarnowała grosz nieczysty i znowu siedziała w babińcu. Stanisław dopomógł cegłą i syna przysłał do murarki. Nieraz starzec opowiadał sąsiadom, jak za młodu sługiwał u ś. p. Stanisława Jundziłła, jak z nim razem botaniczny ogród zakładał. Te wspomnienia do łez rozczulały starca.

— Nieubliżając nikomu, pamiętam jak on ten ogród kochał i na starość siadywał sobie nad rzeczką, myślał tam, czytał i śmierci niebawem doczekał. Mówił mnie zawsze: Stasiu, dwie tylko są rzeczy wieczne na ziemi: cnota i praca. Zapamiętałem jego słowa, Bóg świadkiem, nie ubliżając nikomu, spełniam ile mogę.



Pomnik Józefy z Wątróbków Radziejewskiéj.
(Rysował podług fotografji J. Kordysza Kozarski—wyciął Rosen).

Pod koniec lata, Marcinowa z Anusią przeniosły się do nowego dworku, a w dzień ŚS. Aniołów Stróżów, Anusia została synową Stanisława. Młoda para zamieszkała przy Marcinowéj, która codzień z koszami chodzi na plac, Anusia dawnym trybem szyje czepki i gospodarzy, mąż jéj trudni się murarką, a w niedzielę po mszy Ś-téj zamiast czczych odwiedzin, pustych pogadanek przy kieliszku, czytają *Kmiotka*, *Opiekuna Domowego*, i sąsiadki z dziećmi zajdą do nich; tak święto z pożytkiem przejdzie, wzmacniając siły na pracę dni powszednich.

Wokoło nowego dworku zielenią się trzy młode klony, a pień niedogorzały starego, Anusia znowu oplotła powojem, obsiała rezedą i maczkiem. Nikt grzesznem okiem nie zaziera do okienka: brunet gdzieś przepadł, Kunegunda nagle z pijaństwa umarła. Za jéj trumną szła Anusia z mężem i kilku żebraków, a z krewnych nie było nikogo. Córka jéj za młodu uciekła od matki, która zbyt srogo z nią się obchodziła, chcąc rózgą zaszczepić poczciwość; ukradkiem przeto wyjechała z jakąś obcą panią, gdzieś aż za Warszawę, zkąd na starość o torbie wróciła w swoje strony. Matka jéj już nie żyła, znajomi nie poznali, a różne przechodząc koleje, chciała mieć intratę z pacierzy, w końcu przyszła śmierć i pociągnęła do grobu.

Anusia, tak dziś jak i dawniéj, po dziennéj pracy siaduje wieczorem na ławce pod oknem, patrzy na gwiazdy i myśli sobie, jakże pięknie być musi w Niebie. Mąż jéj, acz spracowany, nie zawali się do łóżka, wróciwszy do domu, nie gdéra na żonę, nie pokrzepia się kuflem, lecz podziela wszystkie wolne chwile z Anusią, i pragnie codnia być lepszym.

Niech im Bóg szczęści, niech kamień węgielny, na którym żywot swój oparli, nigdy się nie skrzywi, a tu i owdzie świat się prostuje i można śmiało powtórzyć:

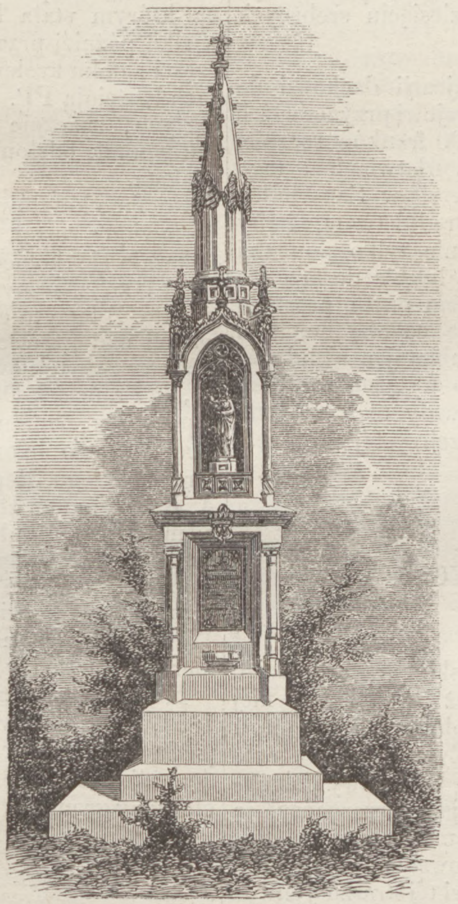
„Chociaż to życie idzie po grudzie,
Jak mi Bóg miły, dobrzy są ludzie."

Zofia z Brzozówki.

Rozmaite sposoby powitania u różnych narodów.

Arabowie przy powitaniu, podnoszą prawą rękę nad kolana, następnie podejmują ją do podbródka, i położywszy poważnie na czole, mówią: *Es salam salejkum*, (Witajcie Sebak kum bei Khair), niech Bóg was obdarzy dobrami tego rana. W innych miejscach na Wschodzie Muzułmanin z uszanowaniem dotyka się brody starców, których napotka: jest to największy znak uszanowania. Każda z dziewięciu klas Chińskich urzędów, (mandarynów) ma oddzielne przepisy powitania, a co za tem idzie, ukłonów. Biada temu kto przestąpi prawidła etykiety. Gdy dwaj Chińczycy się spotkają, wznoszą ręce nad głowę, a potem zniżają je stopniowo do ziemi, zginając się i mówiąc: „Czyście szczęśliwie zjedli swój ryż?” Japończyk, spotkawszy się z znakomitą osobą, zdejmuje sobie z nogi pantofel i pokazuje go jéj, na znak głębokiego szacunku. Tybetańczykowie witają się pokazując język i skrobiąc się w ucho. Niektórzy wyspiarze Oceanji witając się, uderzają się nosami. Inni zaś posuwają grzeczność do tego stopnia, że wziąwszy rękę lub nogę osoby, którą chcą uczcić, pocierają nią twarz swoję. W Południowéj Afryce, krajowiec spotkawszy się ze swymi przyjaciołmi, pada na ziemię i mocno się bije po brzuchu. Dżurowie w Sudanie, plują swoim znajomym w twarz, i dłoń ręki prawéj, nieszczędząc przytem pochlebnych epitetów. W Sanaarze, skoro król kichnie, dworacy naprzód mu winszują, a następnie odwróciwszy się doń tyłem, nie szczędzą sobie kułaków w uda. W Monomotapa, przy tejże saméj okoliczności, asystujący wydają okrzyk gardłowy, który we wszystkich pokojach pałacu powtarzają jego mieszkańcy. We Francji jeszcze w XVII wieku, grzeczny kawaler witając damę, naprzód cofał się w tył kłaniając, następnie postępował naprzód, z potrójnym ukłonem, nakoniec schylał się aż do kolan, zawsze z miną najpoważniejszą. A któż nie wie o naszych ojcach, którzy uważali za najpierwszy obowiązek grzeczności wycałować rączki, pięknych i szpetnych, młodych i starych kobiet, chociażby ich było kilkadziesiąt w jednym salonie? Czy nasze dzisiejsze chłodno-angielskie ściskanie rąk, jest lepsze od wyliczonych wyżéj powitań? Trudno zaiste roztrzygnąć, bo o ile wydają się nam śmiesznemi barbarzyńskie zwyczaje, o tyle znowu barbarzyńcom nasze. To jednak pewna, że pewien Chińczyk bawiący czas jakiś w Polsce, nie mógł się dość naśmiać z naszego „Padam do nóg,” a to tem więcéj, że osoby wymawiające to powitanie, pomimo obietnicy jaką ono zawiera, trzymają się prosto, wcale nie myśląc upaść do stóp witanéj osobie. „Jeżeli to żart, dodaje Chińczyk, to dziwna rzecz, że najpoważniejsze osoby znoszą takie impertynencje, a jeżeli mówią to na serjo, to czemuż rzeczywiście do nóg nie padają?” Ciekawa rzecz, coby powiedział nasz Chińczyk, gdyby ujrzał, nie już ludzi w wieku, ale młokosów, w całem tego słowa znaczeniu, pompatycznie dających swą rękę do ucałowania kobietom i starcom niższéj klasy? Albo, gdyby będąc w niektórych naszych prowincjach, przypatrzył się czołobitności włościan, którzy aż do ziemi się schylają przed lada surdutem lub butniejszą nieco miną? Ale prawda, zapomniałem, że i Chińczycy nie dają się nikomu pod względem czołobitnéj grzeczności wyprzedzić.

Mścisław Kamiński.



Pomnik Tytusa Mniszka.
(Rys. podług fot. J. Kordysza Kozarski—wyciął Sznage).

Haftarki Szwajcarskie.

Kiedy po znojnych pracach letnich, chłodna jesień, a tuż za nią w ślady nasza mroźna, śnieżysta zima nastanie; o! jakże wtedy miło jest wstąpić do cichéj wieśniaczéj zagrody, gdzie przy jasnem świetle płonącego łuczywa, hoże dziewoje i poczciwe gosposie, obsiadłszy komin z nałożoną kądzielą, snują w zawody i cienką nić przędzy, i barwiste słowa gawędki, przy któréj tak łatwo się zapomina, o długości wieczora i o poświstach mroźnego wiatru, co tam sobie w najlepsze wyprawia dzikie tany po ośnieżonych polach. O! błogosławiona stokroć ziemia nasza, która za krwawy pot czoła obfitym plonem nagradza, a dając nam za konieczny warunek powszednią pracę, nie naraża nas na zbyteczne wytężenie siły, ani też żadnego ze zmysłów na szwank nie wystawia. Otóż spojrzawszy na ochocze kółko prządek, co to z rozpromienionem obliczem z piosnką na ustach, fruczą wrzecionami, snując długie nitki lnu pól rodzimych, co zmienione następnie na płótno nie wyjdą za obręb ojczystéj zagrody, przenieśmy się myślą w odległy kraj Szwajcarski, gdzie równie w chatach wieśniaczych, nie wiele co wygodniejszych od naszych, takie same grono zebranych niewiast, przy skąpem świetle łojówek, mozolniejszéj oddaje się pracy. Są to haftarki Szwajcarskie, z kantonu San-Gallen i Appenzelln, których wytworne prace rozchodzą się następnie w najodleglejsze strony. Mozolne to zajęcie stanowi nader ważną gałęź miejscowego przemysłu, co tem więcéj jest zastanawiającem, iż nie odbywa się ono w zakładach na ten cel umyślnie przeznaczonych, ale po prostu obok innych zatrudnień, wśród chat wieśniaczych.

Zręczne i pracowite Szwajcarki, podobnie jak nasze prządki, lubią wieczorami kolejno zgromadzać się do jednéj chaty, i tam rozmową i śpiewami, osła-

dzają sobie chwile poświęcone robocie. Mniéj jednak są szczęśliwe od naszych wieśniaczek, gdyż przy ciągłem natężaniu wzroku, narażone są na osłabienie tego tak szacownego zmysłu, a pochyłość postawy, jaką muszą zachowywać w czasie pracy, nie jedną smukłą kibić dziewiczą, garbi i zbezkształca przedwcześnie. Nie rzadko także i mężczyzni biorą udział w wyrabianiu haftów, a szczególnie w odbijaniu rysunku, który nakłuwają wprzódy, a za pomocą sproszkowanéj farbki, z nadzwyczajną łatwością przenoszą na wszelkiego rodzaju materje. Osobni przemysłowcy zajmują się handlem i dostarczaniem obstalunków pracownicom, które stosunkowo bardzo licho bywają wynagradzane; gdyż zarobek ich od grubszéj pracy wynosi zaledwie trzy srebrne grosze, od cieńszéj zaś i wytworniejszéj, od siedmiu do dziesięciu srebrnych groszy dziennie.

Liczba haftarek w całéj Szwajcarji dochodzi do 2,600; ogólny zaś dochód, jaki krajowi przynoszą ich prace, wynosi 350,000 do 400,000 franków rocznie. Główne kantory, trudniące się ułatwianiem tego przemysłu krajowcom, znajdują się w San-Gallen i Appenzelln; za ich zaś pośrednictwem, hafty Szwajcarskie rozsełane bywają nie tylko po całéj Europie, ale nawet w znacznéj liczbie dostają się i do Ameryki. Tym tedy sposobem prace prostych wieśniaczek, służą za kosztowną ozdobę bogatym paniom wielkiego świata, które ubierając niemi swą odzież, ani pomyślą często, ile to wytężenia wzroku i chwil mozolnéj pracy, kosztowały te kwiateczki i listki, tak lekko rozsiane na przejrzystéj tkaninie.

Emilja Leja.

KOLUMNA KRÓLA ZYGMUNTA

W WARSZAWIE.

Władysław IV-ty król Polski, przyozdabiając ciągle Warszawę, zamierzył też wystawić w niéj pierwszy publiczny pomnik. Kolumnę z marmuru Chęcińskiego już wykuć kazał Zygmut III-ci, szło więc tylko o sprowadzenie jéj do Warszawy i obmyślenie innego celu, niż ten, na jaki przeznaczył ją Zygmunt; król ten bowiem zamierzał upamiętnić w taki sposób zwycięztwo Guzowskie. Władysław nie chciał przypominać ludodowi téj strasznéj chwili. To też Władysław przeznaczył kolumnę na uczczenie pamięci swego ojca; nie szczędził na to pieniędzy ani trudów, i z ogromnym kosztem sprowadził marmur do Warszawy; w niéj znów zakupił domy, w pobliżu bramy Krakowskiéj i kazał je rozebrać, przez co otworzył się obszerny plac, na którym pomnik miał stanąć. Samo przygotowanie placu, stało się dla Władysława przyczyną zajścia z Philonardim, legatem papiezkim; Philonardi poróżniwszy się już poprzednio z królem, zabronił pod klątwą rozbierać domów, które leżały obok klasztoru mniszek. Władysław na przekór natychmiast zrucić je kazał; po wielu sprzeczkach wreszcie Nuncjusz przeprosił króla. Radziwiłł w pamiętnikach swoich o tem zajściu wspomina, że i sama statua sprowadzoną zastała Wisłą do Warszawy, jednakże tablica umieszczona u stóp Zygmunta przekonywa nas, że statuę tę odlał w Warszawie Daniel Thym, nadworny giser, wedle modelu Klemensa Molle. Statua jest bronzowa grubo złocona, miecz tylko, który król trzyma w ręku, jest miedziany.

Zygmunt w koronie, okryty jest płaszczem królewskim, na którym znajdują się liczne płaskorzeźby, na szyi ma zawieszony order złotego runa, jedną nogę trzyma na szyszaku, w prawéj ręce ma pałasz, w lewéj krzyż, wyższy nieco od całéj osoby. Wszystkie te pojedyńcze części są artystycznie odrobione. Posąg sam Zygmunta jest blizko na półszosta łokcia wysoki. Stoi na wysokiéj kolumnie porządku koryntskiego, $14\frac{1}{2}$ łokci długości mającéj. Kapitelu nad samym słupem i u podstawki pod samym posągiem jest $7\frac{1}{2}$ łokci; podstawy dolnéj podługowato-kwadratowéj z marmuru krajowego $14\frac{1}{2}$ łokci. Ogółem zatem cała kolumna z posągiem trzyma 36 łokci.

Pomnik ten postawiony został w roku 1644. Plac, na którym stała kolumna, początkowo nie zbyt wielki, późniéj przez zrzucenie bramy Krakowskiéj, części zamku królewskiego, tudzież w ostatnich czasach Kościoła PP. Bernardynek, i domów mu przyległych, znacznie powiększony został, widok na ten pomnik odsłonięty, a krzyż Zygmunta świeci zdaleka,

Pomimo kosztów i staranności, z jaką pomnik ten postawiony został, za Augusta III-go roku 1743, pokazała się konieczna potrzeba wyrestaurowania, co też ze znacznym znów nakładem wykonanem zostało. Z tego to czasu pozostał się na blasze ołowianéj nad gzemsem głównym napis, który jako ciekawy zabytek ówczesnéj ortografji przytaczamy: „Ja Frańcisek Dombrowski mając dispożycie nad reperaciiey Zamku Warszavscogo J. W. J. M. P. Podskarbiego Koronnego, Nadwornego Macieia Grabowskiego, Reperowałem te kolumne y statue A. K. Zygmunta złotem, żelazem, ołowiem, kamieniem, kytem, gradusami y kratą mając kaminarza Jana Stachowskiego s Krakowa majstra w stuce kaminarsky wielce biegłego roku Pańskiego 1743.” Drugi raz odnowiono znów kolumnę roku 1810. Wreszcie trzecią naprawę dokonano roku 1863, pod kierunkiem Radcy Budowniczego Orłowskiego.

Kolumna znacznie też upiększoną została roku 1854, przez ustawienie 4-ch trytonów na rogach piedestału, wyrzucających pod stopy Zygmunta wodę z téj saméj Wisły, po któréj kiedyś, tak wesoło otoczony gromadą, płynął król do rodzinnéj Szwecyi.

K. Strasburgier.

O przesądach ludu wiejskiego we Francji.

Że przesądy istnieją w każdym kraju, nawet i we Francji, była teraz arcy-dobra sposobność przekonania się o tém. W miesiącu marcu r. b. było losowanie popisowych do wojska, po wszystkich gminach i aby się uchronić od wyciągnienia losu pakującego w szeregi, Bóg wie jakich nie dopełniono zabobonów i niemających sensu guseł. Rok ten jednakże, tak był nieszczęśliwy dla przesądów, że ktokolwiek tylko przyszedł z jakim cudownym środkiem, mającym go niby ochronić od złego losu, można się było założyć, że wyciągnie właśnie taki los, jakiego sobie wcale nie życzył. Ztąd wszelkie cudowne prezerwatywy, bardzo wiele utraciły ze swéj popularności, a przez to wiele osób przekonać się mogło, że do takich niedorzeczności niemożna wcale żadnéj przywiązywać wiary. Dzienniki francuzkie, podały wiele opisów takich środków ochraniających od wy-

ciągnienia złego losu, a które w roku bieżącym powszechnie pozawodziły wszystkich. Przytoczymy tu z pomiędzy wielu innych, trzy tylko zdarzenia.

Trzech młodych z pewnéj wioski, położonéj w obwodzie Roanne, udało się, stósownie do wezwania władzy, do miasta, gdzie się odbywało to losowanie popisowych do wojska, gdyż we Francji losami ciągną, kto ma służyć w wojsku. Ci trzéj popisowi, zaopatrzeni zostali w kawałki ludzkiéj kości wziętéj o północy z cmentarza. Wszyscy trzéj mieli w kieszonce od kamizelki po kawałku sznurka, na którym się człowiek powiesił, a który to sznurek przy sposobności, otrzymawszy rodzice tych trzech losujących, przez lat kilkanaście chowali starannie, jako relikwie wedle powszechnego mniemania, bardzo ochraniające od złego losu wyciągnienia, w przewidywaniu dzisiejszéj potrzeby. W końcu, przed przystąpieniem do losowania, wszyscy trzéj natarli sobie skronie, rękę i nogę lewą, maścią utworzoną z krwi sowy i tłustości ropuchy. Dopełniwszy tych przesądów, niedorzecznych i godnych śmiechu z jak największą skrypulatnością, mniemali oni, że teraz stósownie do powszechnego twierdzenia, są najzupełniéj zapewnieni przeciw wyciągnięciu z urny niepomyślnego losu, to jest sądzili oni, że teraz z największą pewnością wyciągną *Numera* wyższe, jak liczba wyznaczonych rekrutów, których gmina dostarczyć miała, o czem też ich ciotki i kumoszki najuroczyściéj zapewniały. Pewni zatem powodzenia, przystąpili z dobrą miną do urny, trzymając w lewéj ręce po kawałku kości ludzkiéj. Jakież jednak było ich rozczarowanie, kiedy spostrzegli, że wszystkie te praktyki nie prowadzą do celu, gdyż nie pomogły im w niczem i oni wyciągnęli Numera najpierwsze 3, 1, 2 i pomimo woli ujrzeli się wcieleni w szeregi wojskowe. Niezawodnie, zdarzenie to przyczyni się niemało, do zniszczenia w całéj okolicy przesądów, istniejących pomiędzy ludem wiejskim, odbierając mu wiarę w gusła i niemające żadnego sensu praktyki.

W innéj znowu gminie Departamentu *Pas de Calais*, napisano następujący list z zawiadomieniem do prefekta, Panie prefekcie! ośmielamy się pisać do pana, a to w celu uprzedzenia go, że jutro w czasie ciągnienia losów do wojska, niejaki Revois zamieszkały w wiosce S. będzie miał przy sobie pewne ingrediencje, które ściągając mu pomoc złych duchów, zabezpieczą mu przez to wyciągnienie dobrego Numeru. I to my po nim, przystąpimy do wyciągnienia złych losów, my którzy zostawiamy naszych rodziców w nędzy, kiedy przeciwnie jego rodzice bardzo dobrze się mają. Osoba, która mu dostarczyła tego bezbożnego środka, otrzymała za to porządne pieniężne wynagrodzenie. Jeżeli Pan Prefekt raczy nam przyjść w pomoc, wymierzając sprawiedliwość, o którą tylko upraszamy, to niepotrzeba więcéj, tylko kazać mu się rozebrać, a w rzeczach jego znajdzie się czarodziejski przedmiot, czy to w spodniach czy w kamizelce ukryty. Trzeba jednak dobrze tego przedmiotu poszukać, gdyż on go chce tak ukryć, aby go nikt nie mógł znaleść. Z tego to powodu upraszamy Pana dobrze czuwać nad tym Revois, my, zaś pokładając całe zaufanie w szanownéj osobie Pana Prefekta, prosimy go jeszcze raz, aby sprawiedliwości zadosyć się stało, to jest, żebyśmy nie cierpieli z tego powodu, że komuś zły duch dopomaga!! Podpisano: Młodzież mająca przystąpić do ciągnienia losów, a pokładająca całe zaufanie w osobie Pana Prefekta. Naturalnie, że po odebraniu tego listu, Prefekt naśmiał się do woli, ubolewając, że we Francji tyle jest jeszcze ludzi nieoświeconych, żeby aż jedni za pieniądze pomoc złych duchów kupowali, a drudzy, żeby się tego obawiali tak bardzo, żeby aż skargę do władzy zanosili. Nieszukano też w rzeczach Revois ukrytych ingrediencji, które miały ściągać pomoc złych duchów, ale pozwolono mu spokojnie, tak jak każdemu innemu, przystąpić do urny, ale niestety! wyciągnął on zły Numer, co najlepiéj pokazało nieskuteczność djabelskiéj pomocy.

Inny znów młody człowiek w departamencie Izery, przystąpił do losowania, mając przy sobie jakiś cudowny medal, posiadający ten znakomity przymiot, że zapewniał nieomylnie dobry Numer temu z losujących, co go posiadał przy sobie, podczas téj czynności. Przez dwadzieścia lat poprzednio rok w rok używany ten medal, jako środek ochraniający od wyciągnienia złego losu, nie zawiódł nigdy położonego w nim zaufania, co naturalnie szczególnemu wydarzeniu, zupełnie przypadkowemu, a nie cudownemu przymiotowi medalu, przypisać należy. Na nieszczęście jednak tego roku, popisowy posiadający przy sobie ten medal, wyciągnął Numer 9, jak najlepszy do wojska. Możnaby mniemać, że reputacja sławnego medalu zachwianą zostanie. Bynajmniéj. Rada złożona ze starych kumoszek w téj wiosce, z któréj popisowy pochodził, jednomyślnie osądziła, że jeżeli medal tego roku tak się poszkapił, to nie jego w tem wina, gdyż on posiada niewątpliwie cudowny przymiot, ale sam popisowy powinien sobie tę winę przypisać, że mu się losowanie, nie powiodło, gdyż włożył medal podczas ciągnienia losów w nieprzyzwoite miejsce.,.. w kieszeń u spodni, przeto nie mógł za takie nieuszanowanie powodzenia sobie ściągnąć. Nieprzestając na tym wyroku, kumoszki uradziły następnie, że, aby cudownemu medalowi przywrócić jego osobliwą skuteczność, potrzeba go naprzód ze zniewagi oczyścić. W roku zaś przyszłym, jeżeli się będzie z większem uszanowaniem z nim obchodzić, niezawodnie przyniesie on szczęście temu popisowemu, który nie będzie miał wielkiéj chęci zbierania wawrzynów na polu chwały. Widzimy w tem, że gusła i zabobony panują jeszcze między ludem we Francji, tak dobrze jak w każdym innym kraju, a oraz najlepiéj przekonać się można, co są warte te wszystkie tajemne praktyki.

ROZMAITOŚCI.

— Czytelnicy Opiekuna Domowego dość często spotykają się z artykułami p. Adama Wiślickiego, który jest naszym spółpracownikiem. Nieobojętną więc dla nich może być wiadomość, iż autor ten od Nowego roku wydawać będzie nowe pismo pod tytułem: „Przegląd Tygodniowy życia społecznego, literatury i sztuk pięknych," w tym samym rozmiarze co i nasze. Treścią jednak nowe to pismo znacznie różnić się będzie nie tylko od Opiekuna, ale i od innych wychodzących dotychczas w Warszawie. Przegląd za główny cel wziął sobie prowadzenie kroniki z życia społecznego, to jest towarzyskiego, literatury i umiejętności z całego tygodnia, wychodzenie bowiem tego pisma naznaczone zostało na każdą *niedzielę* rano. Nadto *Przegląd* nie pominie też faktów z rolnictwa, przemysłu, handlu i rzemiosł, którym p. Wiślicki nie jedną już swą pracę poświęcił. Dla uczynienia zaś pisma

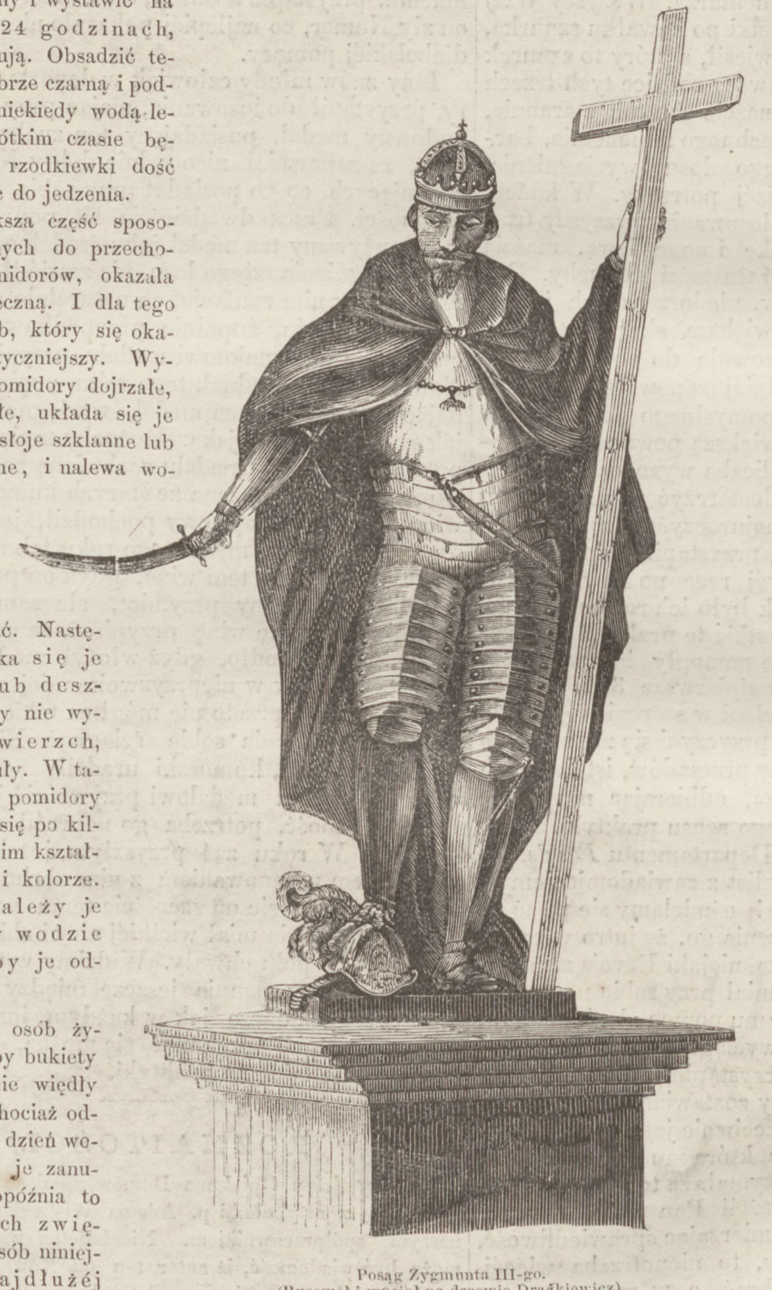
poczytniejszem, dodane zostaną powieści i poezje, tudzież lekki feljeton, uprzyjemniający chwile niedzielnego czytania. Nie możemy także zamilczyć, iż pismo p. Wiślickiego należyć będzie do tanich publikacji, cena bowiem 50 groszy w Warszawie miesięcznie, a 1 rs. kwartalnie na prowincji, nie jest uciążliwą dla żadnej kieszeni.

— Jeżeli chcemy wcześnie mieć rzodkiewki, należy nasiona rzodkiewek moczyć przez 24 godzin w wodzie, następnie je związać w woreczek płócienny i wystawić na słońce. Po 24 godzinach, ziarna skiełkują. Obsadzić temi ziemię dobrze czarną i podlewać kiedy niekiedy wodą letnią, a w krótkim czasie będziemy mieli rzodkiewki dość spore i dobre do jedzenia.

— Większa część sposobów używanych do przechowywania pomidorów, okazała się niedostateczną. I dla tego podaję sposób, który się okazał najpraktyczniejszy. Wybierają się pomidory dojrzałe, zdrowe i małe, układa się je delikatnie w słoje szklanne lub też i gliniane, i nalewa wodą mocno słoną, przynajmniéj taką, iżby jajko mogło w niéj pływać. Następnie przyciska się je kamieniem lub deszczułką, aby nie wypływały na wierzch, boby się psuły. W takim stanie, pomidory przechowują się po kilka lat w swoim kształcie, smaku i kolorze. Do użycia należy je wymoczyć w wodzie świeżéj, żeby je odsolić.

— Wiele osób życzy sobie, aby bukiety kwiatów nie więdły prędko. Chociaż odmieniamy co dzień wodę, w której je zanurzamy, nie opóźnia to bynajmniéj ich zwiędnienia. Sposób niniejszy jako najdłużéj utrzymujący świeżość kwiatów jest następujący: Sypie się dobrze miałkiego węgla łyżeczkę w naczynie z wodą, w której mają być bukieta umieszczone, tak, aby końce łodyg kwiatowych, dotykały tejże. Tym sposobem świeżość dla kwiatów i odświeżanie wody, już jest zbytecznem.

— *Grzecznym* jest ten, kto zadaje sobie nieco przymusu, ażeby zrobić przyjemność drugim; ztąd pomiędzy ludźmi grzecznemi wynika wielka korzyść dla każdego; skoro nas jest dwunastu, odbieram jedenaście grzeczności w zamian za jedną, i znajduję jedenaście razy więcéj przyjemności, aniżeli będąc w towarzystwie ludzi niegrzecznych. Samoluby, którzy nie chcecie się przymuszać dla nikogo, złą macie rachubę.



Posąg Zygmunta III-go.
(Rysował i wyciął na drzewie Drążkiewicz).

OD REDAKCJI.

Rok jeden ubiega, jak istnieje „Opiekun Domowy;” jaką on przyniósł korzyść dla domowego ogniska czytelników naszych, nie do nas oceniać to należy. Silnie wierząc, że wszystko, co w dobréj myśli poczęte, sumiennie przeprowadzane w wykonaniu, czy prędzéj czy późniéj należycie uznane i ocenione zostanie, nie ustajemy w rozpoczętéj pracy, i daléj Opiekuna Domowego wydawać zamierzamy. Doświadczenie przekonało nas, o téj odwiecznéj prawdzie: że trudno wszystkim dogodzić, — pismo nasze, bardziéj może jak inne, uległo roztrząsaniu; krytyki jednak tu i owdzie umieszczane, sumienności i pracy usilnéj, oraz dobréj wiary, odmówić nam nie mogły. To dosyć na początek, to nas zachęca do wytrwania. Kierunku raz nadanego, zmieniać nie będziemy; rozszerzać i ulepszać Opiekuna Domowego, to nasze zadanie w przyszłości.

W przyszłym roku, rozpoczynamy druk powieści Dzierzkowskiego: „Cmentarz wiejski;” ostatnia to praca, jaką dla nas przed zgonem ten znakomity pisarz dokonał.

Cena prenumeracyjna pozostaje ta sama. Upraszamy o wcześniejsze zapisywanie się na właściwych stacjach pocztowych, a z Cesarstwa: o nadsyłanie pieniędzy prenumeracyjnych pod adresem Redakcji, gdyż od pośpiechu tego, regularność w odbiorze, pierwszych zwłaszcza Numerów pisma naszego, zawisła.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. — *Redaktor*, Adam Mieczyński.